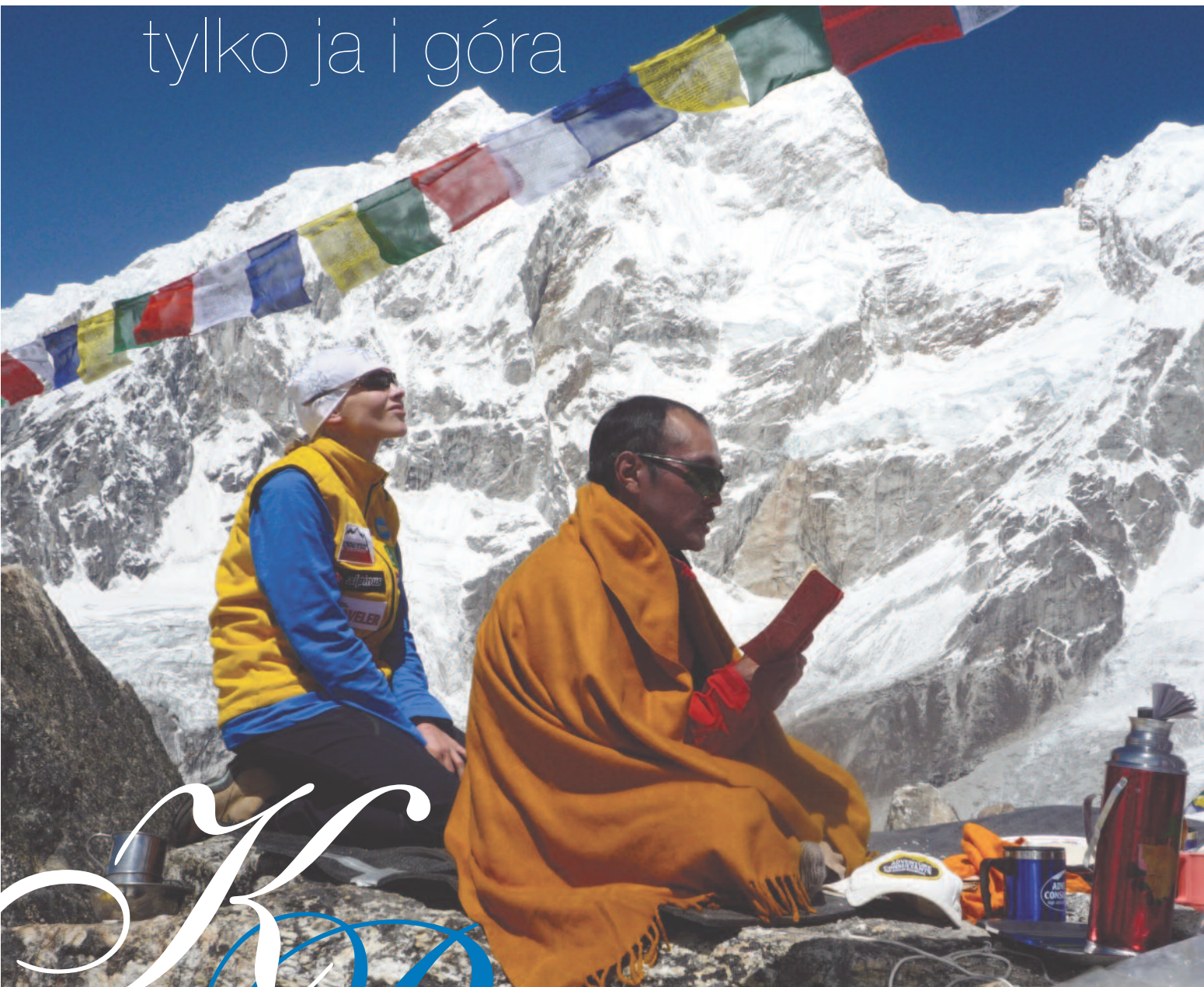


Jestem tylko ja i góra



KB

W DŻINSACH I TRAMPKACH KINGA BARANOWSKA MOŻE UCHODZIĆ ZA LICEALISTKĘ. ALE W OCZACH MA SPOKÓJ I DOJRZAŁOŚĆ. TO BONUS OD MIJAJĄCYCH LAT I GÓR, KTÓRE NAUCZYŁY JĄ CIERPLIWOŚCI.

Włosy, które sięgają do połowy pleców, muszą być w Nepalu ciężkim balastem...

Tak, przeszkadzają. Ostatnio byłam już tak zdeterminowana, że chciałam je obciąć nożyczkami do paznokci.

No i?

Jakoś odpuściłam, lubię je. Ale w górach to tylko kłopot. Niech pani sobie wyobrazi namiot prysznicowy. Można do niego wejść, a nawet się w nim wyprostować, i umyć, polewając wodą z kubka. Wcześniej trzeba wziąć od kucharza wiadro ciepłej wody. To niby nic takiego, tylko, że w namiocie jest 4 lub 5 stopni. W takich warunkach trzeba to zrobić

szybko. A jak szybko umyć takie włosy? Jakoś sobie radzę. Gdy zakładam kask, a często wspinamy się w kaskach, muszę je ciasniej związać.

Gdy była pani małą dziewczynką, myślała pani: Zostanę kimś wielkim, sławnym?

A może wystarczyła pani myśl, żeby założyć w Wejherowie, z którego pani pochodzi, sklep z ciuchami?

Nie. Sklepu nie planowałam. Marzyłam o podróżach. Ale nie o takich typowych, turystycznych. Marzyły mi się podróże odkrywcze, pełne przygód. Takie jak u Tomka Wilmowskiego, a potem Ryszarda Kapuścińskiego.

W tych marzeniach były góry?

Pojawiły się znacznie później. Pierwszy raz pojechałam w Tatry, gdy kończyłam liceum.

Co pani poczuła?

Wpadłam po uszy. Oszalałam ze szczęścia. Zrozumiałam, że to mój świat. Później, kiedy już studiowałam geografii, wyjechałam znów, na trzytygodniowe praktyki z geologii i geomorfologii. Miałam szczęście, gór uczyłam się od prawdziwych pasjonatów. Później jeździłam w Alpy, góry byłego Związku Radzieckiego. Te ostatnie są tanie, dobre dla młodych ludzi. Gdy pierwszy raz znalazłam się w Tybecie i zobaczyłam

”

gdy pierwszy raz zobaczyłam Himalaje, zrozumiałam, że nie ma żartów, że aby się z nimi zmierzyć, trzeba być przygotowanym

Himalaje, przeraziłam się. Ale nie tak, żeby się spakować i natychmiast wracać. Uświadomiłam sobie, że tu nie ma żartów i aby zmierzyć się z tymi górami, trzeba być od tego przygotowanym.

A pani była przygotowana?

Tak. Sporo umiałam. Wszłam już na któryś z siedmiotysięczników. Ale pierwsza wyprawa jest o tyle trudna, że wszystko jest nowe. Dobrze, gdy ma się wtedy kogoś, kto wytłumaczy, podpowie, doradzi, jak rozłożyć siły, by nie zabrakło ich na sam koniec, w najważniejszym momencie.

Czy środowisko himalaistów chętnie dzieli się swoim doświadczeniem, czy może

zazdrośnie strzeże wypracowanych przez lata umiejętności przetrwania w tak ekstremalnych warunkach? Pytam, bo z nielicznych filmów, których akcja odbywa się wysoko w górach, często wynika, że każdy potencjalny zdobywca szczytu to rywal, którego warto wyeliminować. Żeby samemu sięgnąć po zwycięstwo.

W życiu jest inaczej. Nic w słynnym filmie „Granice wytrzymałości” z Izabellą Scorupko nie było prawdziwe. A już najmniej ten dynamit, którym wysadzano skały, żeby wyciągnąć uwięzioną w dole dziewczynę. Takie niskie emocje: nie pomogą ci, bo sam chcę zwyciężyć, nie dochodzą do głosu. Stawka jest zbyt duża, cho-

dzi o ludzkie życie. Nie ma także, jak w latach 70. czy 80., szefów wypraw, którzy mówią: Ty idziesz, ty nie idziesz. Byłby to zamach na wolność osobistą. Oczywiście, wspinacze bardziej doświadczeni mają prawo, a nawet obowiązek zwrócić uwagę osobie, która robi coś głupiego, przestrzec ją.

Co jest najtrudniejsze w takiej wyprawie? Zimno, niewygody, ciężar plecaka, może sam trud podejścia?

Czekanie. Nie wszystko przecież zależy od nas. To nie jest tak, że przyjeżdżamy, aklimatyzujemy się, wchodzimy. Niekiedy musimy czekać na dobrą pogodę kilka, kilkanaście dni. Kiedyś tkwiłam w obozie dwa tygodnie. >>

Kinga Baranowska



Himalaistka, zdobywczyni sześciu ośmiotysięczników. Na pierwszy, Czo Oju, weszła w 2003 roku. Przez następne lata zmierzyła się z czterema innymi, najwyższymi górami świata. W tym roku, jako pierwsza Polka, zdobyła Kanczendzongę, liczącą 8598 m. Pochodzi z Kaszub, a góry pokochała dopiero w liceum. Z wykształcenia jest geografką i ekonomistką.

BK

Herbatki, rozmowy?

Wygląda to trochę inaczej. Wszyscy stłoczeni na kilkumetrowym kwadracie obozu. Bez wody, prądu. Wiatr gwizdże przez tropik. Wyczołgujemy się co jakiś czas tylko po to, żeby odkopać namiot ze śniegu. I bez przerwy sprawdzamy pogodę. Trzeba być wtedy naprawdę silnym, żeby nie stracić motywacji, nie odpuścić, nie zejść na dół. Pamiętać, po co się tu przyjechało.

To co się wtedy robi?

Jak ktoś się dobrze czuje z samym sobą, to da sobie radę. Można czytać, słuchać muzyki. Zawsze zabieram ze sobą iPod.

Ale można też po prostu rozmyślać, marzyć. Czasem w domu również nic nie robimy. Patrzymy w sufit, snujemy rozważania. Wiem już, że tak spędzony czas nie jest zmarnowany. To nauka cierpliwości. Przydaje się później w codziennym życiu. Dzięki temu, czego doświadczyłam, nic, no prawie nic (śmiech), nie wyprowadza mnie już z równowagi. Kiedyś byłam osobą, która musiała mieć od razu wszystko. Niecierpliwa i niespokojna, buntowałam się, denerwowałam. Teraz wiem, że to nie ma sensu. Robię tyle, ile mogę. Gdy mam problem, nie spinam się. Kiedy odpuszczamy, rozwiąza-

nie przychodzi samo. Umiem cieszyć się małymi rzeczami: filiżanką kawy, bukietem astrów. Siedzę w kawiarni, patrzę na ludzi, obserwuję. Myślę: Ta staruszka, o twarzy pełnej zmarszczek, słabo widzi, ciągle przeciera okulary, ale próbuje czytać gazetę. Widać, że świat nie przestał jej interesować. Patrzę na nią i podziwiam.

Cierpliwość kiedyś zostaje nagrodzona, a decyzja podjęta: wchodzi. Boi się pani wtedy?

Uważam, że nie ten odważny, kto się nie boi, ale ten kto mimo strachu robi pierwszy krok. Zawsze się boję. Ale nigdy ten strach nie był paralizujący. Gdy-

”

gdy wyjeżdżam na wyprawę, żegnam się, ale nie na zawsze. Załatwiam wszystkie sprawy, by w górach skoncentrować się tylko na zdobyciu szczytu

bym panikowała w trudnej sytuacji, to znaczyłoby, że nie powinnam tego robić. Muszę racjonalnie ocenić zagrożenie.

A jak przyplączę się choroba?

Tego się wszyscy boimy. Przeziębienie, grypa eliminuje nas z grupy zdobywającej szczyt. Himalaiści często chorują na żołądek. Co tu kryć: warunki sanitarne są fatalne, jedzenie nie jest sterylne. A jednak na ostatniej wyprawie [na Kanczendzongę] w ogóle nie chorowałam. Sądzę, że to wpływ Immunocalu, preparatu, który wzmacnia odporność. Nie wolno nam w górach brać sztucznych dopalaczy, podobnie jak silnych leków. Ale coś, co w naturalny sposób wspomaga zdrowie, nie jest zabronione.

Zdarzyło się pani kiedyś wściekać? Urągać górze? Kiedy nie mogła jej pani zdobyć, okiełznać?

Na góry nie można się obrażać. To nie one przysły do mnie, tylko ja do nich, i muszę zaakceptować warunki, w jakich się znalazłam. Nie wyciągnę karty kredytowej, nie wykonam telefonu do przyjaciela. Jestem tylko ja i góra. I to ona ustala reguły gry. Buddyści wierzą, że wszystko ma duszę, także góra. Bałabym się jej złorzeczyć.

Spisała pani testament?

Nie.

Ale jadąc na wyprawę, dopina wszystkie swoje sprawy, dzwoni do znajomych, rodziny...

Żegnam się, ale nie na zawsze.

Załatwiam sprawy przede wszystkim po to, aby w górach skoncentrować się tylko na zdobyciu szczytu. Myśli o zaległych rachunkach, rozgrzebanym remoncie i urzędowych problemach rozpraszaają. Wyprawa kosztuje mnie zbyt wiele wysiłku, by ją tym zniweczyć.

Rodzice jeszcze mówią: Zostań. To niebezpieczne, po co jedziesz?

Już nie. Teraz mówią: Dokąd jedziesz, kiedy wrócisz? Oczywiście, boją się o mnie. Zawsze starałam się być z nimi w kontakcie. Kiedyś było to znacznie trudniejsze niż teraz. Na pierwszą wyprawę pożyczyłam telefon satelitarny od jedynej w Polsce firmy posiadającej takie urządzenia. SMS kosztował

majątek. Gdy dotarłam do bazy i rozbiliśmy namioty, postanowiłam zadzwonić do mamy. A to wcale nie było proste. Trzeba było nakierować się na satelitę, schować przed wiatrem. Kiedy udało mi się złapać połączenie i zdążyłam powiedzieć, gdzie jestem, co robię, mama zaczęła mi opowiadać o moim siostrzeńcu, który coś nabroił, coś stłukł. Stałam tak na mrozie 10 minut i słuchałam. Wiedziałam, że to jest dla niej ważne.

Chce pani mieć swoją rodzinę, dzieci?

W przyszłości – tak.

Pani Kingo, a tak naprawdę, to po co pani to robi?

Bo wtedy jestem szczęśliwa.

Rozmawiała: Sonia Ross **M7Z**

B